

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



JADWIGA ŁUSZCZEWSKA (DEOTYMA).

Chas miota ludźmi, jak liśćmi wiatr,
Gdy biją gromy z chmur —
Strzały swe ostrząc o barki Tatr,
Wstrząsając głębie gór.

Chwieją się myśli niepewne dróg,
Piers ssie zwątpienia wąż —
Gdzie niebo nie wiesz, nie wiesz gdzie Bóg,
Pytanie rzucasz wciąż.

Znikają wizyi prorocze sny,
W bezbrzeżną płyną dal — —
Cisza i cisza i mgły i mgły
Od gór do morskich fal.

Pośród splełanych wieńców i szarf
Nie błyszczą żaden kwiat —
Umilkły dźwięki dantejskich arf,
W letargu drzemie świat.

Błądzą, duch smutny—i wzdłuż i wszerz,
Szukając życia sił — —
Sto gmachów w gruzach, w gruzach sto wież,
Zapomnień wszędzie pył.

I nie masz wieszcz, któryby drgnął,
Na gruzy piersią padł —
Jak Bóg dech własny w anioła tchnął,
Zagadkę jutra zgadł!

I nie masz pieśni, w której moc tkwi,
Piorunem pada z strun,
Jak wichr porywa, szumi i grzmi
I blaskiem świeci łun!

Serce martwieje, omdlewa krok
Zamiera w piersi dech —
W ciszę i pustkę zapada wzrok,
Nie słyhać żadnych ech.

Nie—o, nie!... Szara rozpierzcha mgła,
Stworzenny wionął wiew — —
Coś szumi, dzwoni i lka i gra,
Gra wielki jakiś śpiew.

I strzelił złotem pszeniczny kłos,
Wypełnił duszę czar — —
Twój, Deotymo! — śpiew to i głos
Powolał życie... mar.

I krążą mary znów z ciepłem krwi
I siew twój będą żąć...
Cześć, Tobie—wieszczko!... nie—nie dość czi—
Ty uwielbioną bądź!

Kazimierz Gliniński.

Jadwiga Łuszczewska. (DEOTYMA).

W gruncie wszelkiego rodzaju uroczystości jubileuszowych, czy uczcić one mają zasługi bojowników za prawdę i wiarę, czy przypomnieć społeczeństwu pewne chwile minionej, a szczególnie przeszłości, tkwi pewien zasób szlachetnie pojętego egoizmu. Przyozdobienie wieńcem chwały skroni męża, co życiem i czynami swymi wyrósł po nad zwykły poziom, jest przede wszystkim widomym znakiem tej czci, jaką społeczeństwo, wieniec wijące, aktem tym oddać chce samemu sobie, bo męża tego wydało. I na tym to właśnie egoistycznym pierwiastku, jaki tkwi w hołdzie oddanym zasługom, polega dobra strona owych wzniosłych chwil, jakimi są wszelkiego rodzaju obchody jubileuszowe. Społeczeństwo umiejące uszanować zasługi wybitniejszych swych przedstawicieli daje gwarancję, że nigdy nie zejdzie z prawej drogi naturalnego rozwoju, że nie będzie gonić nieuchwytnych mar, lecz że przyświecać mu będzie zawsze prawdziwy ideał dobra i piękna we wszystkich gałęziach życia duchowego.

Liczny jest szereg pełnych zasługi jednostek, których działalność mniej jest wprawdzie dostępną dla szerszych mas społeczeństwa, niemniej jednak bogata w owoce. Są wielcy myśliciele, którzy w ciszy czterech ścian umysł swój wysilają nad rozwiązaniem tajemniczej zagadki bytu, są natchnieni pieśniarze i poeci, którzy na ołtarzu dobra własnego społeczeństwa składają „swych myśli przedzę i swych ucuć kwiaty,” których natchnione słowa stanowiąc będą zawsze niewyczerpaną skarbnicę bogactwa duchowego społeczeństwa.

Do rzędu tych ostatnich należy utalentowana poetka Jadwiga Łuszczewska znana pod pseudonimem Deotymy, której złote z poezją gody w chwili obecnej obchodzimy.

Znakomita poetka zasłynęła przede wszystkim na polu improwizacji. Natchnione jej słowa ujęte w przepyszną formę artystyczną, porywały niegdyś zdumionych słuchaczy; całym szeregiem wydanych później przesłanych utworów poetyckich zdobyła sobie przebojem serca czytelników polskich, a jako powieściopi-

sarka historyczna zajęła zaszczytne stanowisko w literaturze ojczystej.

Tym więc zasługom, które piórem swem i talentem dla społeczeństwa położyła, oddajemy hołd w chwili obecnej; jubileusz jej święci społeczeństwo polskie za to, że społeczeństwo to ukochała miłością szczerą i głęboką, której dowód złożyła całym życiem swoim. I ta uroczysta chwila daje nam sposobność obznajomienia się nie tylko z ważniejszymi momentami pełnego zasług życia jubilatki, lecz i z całym otoczeniem, które utalentowany umysł ten pełnęło na tory, na których czekały go laury i sława.

Ażeby sobie wyrobić dokładne pojęcie o otoczeniu, w jakim wzrastała i wychowywała się Deotyma, z którego czerpała zamięłowanie i zachętę do nauk, cofnąć się musimy nieco w przeszłość.

Dom rodzicielski Jadwigi Łuszczewskiej przechowywał w nieskażonej czystości tradycję dawnych obyczajów polskich.

Wacław Łuszczewski, ojciec Jadwigi, urodzony w r. 1806, odziedziczył po ojcu zamięłowanie do nauk, które sprawiło, że dom jego był przez lat blisko 20 ogniskiem całego ruchu umysłowego.

Salony Wacława i małżonki jego Niny z Żółtowskich Łuszczewskiej gromadziły przez długi czas najwybitniejszych przedstawicieli literackiego i artystycznego ówczesnego świata polskiego. Na zebraniach tych, które się odbywały w niedziele, poniedziałki i piątki, nie tańczono, nie urozmaicano sobie zabawy grą w karty, nie ucztowano, a mimo to biesiady te ożywione uprzejmością gospodyni przeciągały się do białego dnia. Była to chwila pojawienia się trzech tytanów poezji polskiej, których wieszcze słowa wstrząsnęły do głębi społeczeństwem całym, a w świecie literackim powszechnie wywołały zdumienie. Mickiewicz, Słowacki i Krasiński byli na ustach wszystkich, nie więc dziwnego, że i zebraniom literackim w gościnnym domu państwa Łuszczewskich nie brakło nigdy wątku.

W takim otoczeniu, a pod czujnym okiem matki swej wzrastała Jadwiga, której talent zabłysnąć miał wkrótce niezwykłym blaskiem poetyckim.

Matka jej Magdalena, zwana Niną była córką Edwarda Żółtowskiego, generała byłych wojsk polskich. W r. 1829 poślubiła Wacława Łuszczewskiego, obdarzając go dwiema córkami Kazimierą i Jadwigą, znanymi pod przybranymi imionami Jolanty i Deotymy.

Wykształcenie domowe pobierała Jadwiga pod kierunkiem kilku celniejszych pedagogów ówczesnych, jak Dominik Szulc i Antoni Waga.

Od najpierwszej już młodości odznaczała się nadzwyczajnym zapalem do nauk, z których szczególnie umiłowała dzieje krajowe, nauki przyrodzone i filozoficzne. Okoliczność ta wymownie świadczy o poważnym programie naukowym, przyjętym przez wychowawców jej. Nie obca jej była również obca literatura poetycka; wczytywała się w nią chętnie, a studiowanie poezji klasycznej w doskonałych przekładach polskich nadało poetyckim utworom jej tę niezwykłą pod względem czystości i piękności formę poetycką, którą szczupła tylko garstka dzieci Apollina poszczycić się jest w stanie.

Pierwsze już improwizacje młodocianej poetki dały uczęszczającym na zebranie do domu rodziców jej przedstawicielom świata literackiego możność poznania w niej talentu poetyckiego, który świetną zapowiadał przyszłość. Wiedząc o nowej gwiazdce, która się pojawiła na horyzoncie Parnasu polskiego, rozeszła się szybko i wszyscy oczekiwali z niecierpliwością pojawienia się w druku utworów jej. Nastąpiło to jednak dopiero w r. 1854, a więc w kilka już lat od chwili, w której poetka zadziwiać zaczęła swymi improwizacjami. W roku tym wyszedł pierwszy tom jej *Improwizacji i poezji*. Utwory te nie przewyższające formą swoją poprzednich improwizacji, trudno było bowiem o lepsze wykończenie artystyczne, jakim odznaczały się te ostatnie, wywarły na czytającej publiczności nader głębokie wrażenie. Wiał z nich jakiś liryczny serdeczny, daleki od ekliwkości i mimowoli chwytający za serce.

Talent swój rozwinęła Deotyma na szerszą skalę dopiero w wydanym w r. 1859 w dwóch tomach wielkim utworze poetyckim, noszącym tytuł *Polski w pieśni*. Tom pierwszy nosi tytuł *Lech*, tom drugi mieści dwa utwory pomniejszych a mianowicie: *Wojnę olbrzymów i Dwunastu wojowników*.

Sił swoich próbowała poetka również na polu dramatycznym; fantastyczna scena p. t. *Tajemnica owoców*, oraz legenda udramatyzowana p. t. *Tomira* chlubnie świadczą o jej zdolnościach w tym kierunku.

Odtąd rozpoczęła się piękna w całym tego słowa znaczeniu działalność Deotymy na polu piśmiennictwa ojczystego. Czy to w nadobnej formie wiersza, zawsze podniosłego i natchnionego, czy prozą w szeregu ślicznych powieści Deotyma zawsze uprawiała kult dobra, prawdy

i miłości, ogarniając swą myślą i sercem widnokręgi szerokie.

Na innym miejscu czytelnicy nasi znajdą szczegółową charakterystykę tej niepospolitej i oryginalnej fizioognomii poetyckiej—szlachetnej zarówno w słowie, jak w czynie.

Na zakończenie jednak tego szkicu biograficznego wspomnieć należy o tym salonie, który Deotyma w tradycji po swojej matce odziedziczyła i dalej poprowadzić świetnie zdołała. Wszystko, co jaśniało nauką, talentem, dystynkcyą i stanowiskiem, znajdowało zawsze w salonie tym wyraz dobitny i ujmujący zarazem. A o tym nastroju i wytworności, jakie w salonie Deotymy panują, wiedzą nietylko ci, co w tych wykwinnych zgromadzeniach osobisty udział biorą—wiedzą o tem szerokie koła towarzysztwa naszego, które wysoki smak, delikatność uczuć i dystynkcyę cenić i szanować umieją.

Adam Dobrowolski.

IMPROWIZACYE DEOTYMY

przez

Piotra Chmielowskiego.

W roku 1852 ukazało się w Warszawie niezwykle a urocze zjawisko: dziewczę młode, mogące na zadany temat improwizować—bez żadnego przygotowania—całe setki wierszy.

U nas improwizowanie nie było czemś powszednim, jak np. we Włoszech: potrzeba było dość daleko sięgnąć w dzieje literatury, ażeby przypomnieć sobie słynne występy Niegoszewskiego wobec zgromadzenia uczonych rozwijającego w wierszach łacińskich zawile zagadnienia teologii i filozofii—a potem po dwu wiekach nieporównanie głośniejsze i cenniejsze, lecz rzadkie objawy daru natchnienia najwyższego z ust Mickiewicza.

Miał się więc kraj dziwić czemu, gdy obfitym strumieniem popłynęły jak z bogatego źródła improwizacye Jadwigi Łuszczewskiej. Dom jej rodziców był jednym z najbardziej uczęszczanych salonów literackich w Warszawie; na wieczory poniedziałkowe zbierało się tam po sto i więcej osób. Młoda panienska odebrała nadzwyczaj staranne wykształcenie; pomiędzy jej nauczycielami byli tacy mężowie uczeni, a zarazem umiejący naukę swą przystępnie wykladać, jak przyrodnik Antoni Waga i jak historyk i estetyk, Dominik Szule.

Od wczesnego wieku okazywała Jadwiga wielką skłonność do uogólnień, nie zadawała się samemi szeregiem faktów poszczególnych, lecz pragnęła się do badać, jaką te fakta wytwarzają całość, do jakich wniosków ostatecznie doprowadzić mogą, w jaką syntezę się zlewają.

Rozwinięciu się takiej skłonności sprzyjał częściej owoczesny nastrój naukowy. Doba kształcenia się Jadwigi przypadła na chwilę dość głośnych jeszcze ech filozofii niemieckiej, jakie się do nas przedzierały, pobudzając żywsze i lotniejsze umysły do tworzenia gmachów wiedzy filozoficznej za pomocą metody czysto rozumowej, tak zwanej dyalektycznej, którą poczytywano za najgenialniejszy wynalazek czasów naszych, choć się nawet na wyniki badań filozofów niemieckich nie godzono.

I na umysłowości Jadwigi odbił się wpływ tej metody, lubo jej mistrz estetyki, Dominik Szule, bynajmniej nie należał do zwolenników idealizmu niemieckiego. August Cieszkowski dziełem swym: „Ojciec nasz,” wydanym r. 1848 silnie oddziaływał na kierunek duchowy Jadwigi. Znajdując się tu filozoficzne objaśnienie modlitwy Pańskiej, zastosowanej do całego rozwoju dziejowego ludzkości, ściśle zespolenie chrystyanizmu z filozofią przemówiło nader ujmująco do duszy, wychowanej w dogmatach religijnych, a spragnionej uogólnienia swych pojęć.

Drugim dziełem wpływem, czytowanym głośno w domu Łuszczewskich, był sławny „Kosmos” Humboldta, aż w dwu przekładach na nasz

język wówczas (1849—1851) wydany, a wykładający rezultaty ścisłych badań powabnym stylem, nieobcym poezji. Zawarte tutaj wiadomości z geografii, etnografii, astronomii i nauk przyrodniczych stały się dla Jadwigi bardzo pożądaną karmią, z której też następnie w improwizacyach swoich nie omieszkala korzystać.

Z dużem tedy przygotowaniem naukowem wystąpiła Jadwiga przed inteligentną publicznością, jaka się gromadziła w domu jej rodziców.

Jak wyglądała podczas snucia pomysłów przyoblekanych w wytworną formę wierszową? Mam przed sobą sprawozdanie z czasów cokolwiek późniejszych, bo z r. 1855, spisane przez kobietę, bardzo lubiącą poezję, ale niezbyt świetną stylistkę, przez Paulinę Wilkońską („Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie” Poznań, 1871, str. 39—41). Tem więcej właśnie może być szczerą prawdą w jej słowach, że ich nie usiłowała przystroić w piękną szatę. Wilkońska tedy tak opowiada: „Na pierwszym zaraz poniedziałkowym wieczorze miałam nieokreśloną przyjemność posłyszania improwizacji. Wśród rozmów ożywionych, wesołych, półgłośnych, powstał ruch nagły—i podawano sobie: improwizacya! Zasiadło przy blizszym stoliku czterech stenografów; pomiędzy tymi sam pan Wacław Łuszczewski. Wszystko było w oczekiwaniu. Zadano: *przecucie*... Deotyma stanęła po środku: cała w białym kaszmirze, z włosami z tyłu głowy podwiniętymi, jak na Kaniewskiego obrazie. Wkoło niej mała tylko próżna zostawiono przestrzeń. Jedną połowę salonu przeważnie zajęły panie, drugą—panowie, którzy niby mur utworzyli. Cisza zaległa, nikt odetchnąć nie śmiał. Wieszczka stała, jakgdyby duchem odbiegła ziemię, jakgdyby z nami nie była wcale, jakby pograżona w śnie somnambulicznym. Takie na mnie uczyniła wrażenie, a silne bardzo. Stałam wsparta na krawędzi krzesła, bom dosiedzieć nie mogła. Objęłam ją wzrokiem, życzeniem, przejęciem się całym, że aż tchu niby zabrakło. Zaczęła mówić. Sympatyczne rysy nieokreślony przesłonił wyraz: natchnienie. Lica jej były nieco przybliżone. Oczy to wzniosła, to spuszczała znowu. Ręce, jakby utoczoną, na której lekki szeroki zwieszał się rękaw, podnosiła czasami. Niekiedy pierś uczucie wzdęło silniejsze; ale cała postać i rysy posagowy zachowały spokój. Mówiła z początku wolniej—ciszej—potem nieco szybciej, głosem podniesionym więcej. A słowa z ust jej płynęły, jakgdyby sama nie wiedziała o nich... Gdy skończyła, wrzawa otoczyła poetkę. Pochwały głównie w języku francuskim sypano. Ale posłyszano i szczeropolskie słowa.”

Sława cudownej improwizatorki rozniosła się zaraz po Warszawie, a niebawem po całym kraju i wszędzie znalazła odgłos niezmiernie sympatyczny. Nie tylko młodzież zapalna, wszelką nadzwyczajnością łatwo podbić się dająca, lecz nawet ci poważni i chłodni pseudoklasycy, którzy przed laty tak niechętnie przyjęli poezję Mickiewicza, teraz z uwielbieniem się zwrócili do nowej gwiazdy, rozblęskiej na widnokręgu twórczości. Kajetan Koźmian, Franciszek Wężyk byli zachwyceni utworami Deotymy.

Ciekawem jest wyjaśnienie tego zachowania się pseudoklasyków względem Mickiewicza i całej plejady romantycznej—oraz co do Deotymy. Wyjaśnienie to pochodzi od Wężyka, w którego domu w Krakowie młoda improwizatorka przed dobraniem gronem w r. 1854 talent swój okazywała. Powiada on, że klasycy zamilkli nie „przed wielkością i wzniosłością pieśni tych wieszczów, którzy za swojemi lutniami biegli na czele zastępu,” lecz „przed krzykliwą hałaśliwością tej *zgrai hulaszkiej*, która puściła się w pęd szalony za nowymi mistrzami i mianując siebie natchnioną falangą nowego światła i ducha, domagała się głosem rozkazującym wyłączności dla siebie.” W utworach tej „zgrai hulaszkiej” widzieli klasycy „próżność, zarozumiałość i pychę,” ale nie mogli dojrzeć „ani miłości, ani bożego natchnienia;” a nie mogąc jej „przekrzyczeć,” woleli milczeć. „Dzisiaj—pisze Wężyk—przeżyła już ta burza nad naszymi głowami; co było

piękne, natchnione i wielkie, to zostało pomiędzy nami i zostanie nazawsze; a co wyszło z próżności i pychy, to zamieniło się w proch i oddane zostało nicestwu. Dzisiaj już cisza. Toż kiedy dzisiaj wystąpiła nowa poetka, która przy wielkiej skromności daje tak rozliczne dowody prawdziwego natchnienia, wzniosłości myśli i wysokiego mistrzostwa sztuki; przerwaliśmy jednogłośnie nasze długoletnie milczenie i podnieśli *pierwsi* nasze dłonie do oklasków, a nasze serce do oddania cześci. Ale tę cześć! nie oddajemy jej samej, lecz raczej Panu, który ją tak cudnie utworzył, tak bogato uposażył jej ducha i dawszy jej ustom władzę miotania błyskawic i gromów, dał zarazem jej sercu skromność cichej i ufającej w niebo dziewicy.”

Atoli, czy tylko skromność i natchnienie improwizatorki zjednały jej serca klasyków? Czy nie było jakiegos powinowactwa pomiędzy jej utworami, a poezją pseudo-klasyczną? Żdaje się, że tak. Powinowactwo mieściło się mianowicie w rodzaju tematów i w sposobie ich opracowania. Dwie główne cechy zauważyć można w improwizacyach Deotymy pod względem treści i jej obrobienia: abstrakcyjność i erudycję t. j. właśnie te same cechy, jakimi się odznaczały i poezje pseudo-klasyków.

U Deotymy właściwości te nie były bynajmniej wynikiem świadomego nawrotu ku pseudo-klasycyzmowi, lecz wypłynęły w sposób zupełnie naturalny z rodzaju jej umysłu oraz trybu życia i wykształcenia.

Obserwacji własnych nad społeczeństwem, nad naturą, mieć jeszcze w młodym wieku nie mogła, wszystkie swe wyobrażenia i poglądy zaczerpnęła z książek, z nauki profesorów, z rozmowy literatów i artystów w salonie swych rodziców. Serce jej było spokojne, pełne uczuć rodzinnych i religijnych, wzruszenia osobiste jeszcze nie zamęcały jego głębi; dziewczę wpadało w zachwyt jedynie nad piękną myślą, nad ładną legendą, nad utworami sztuki, lub mądrością w urzędzeniu wszechświata.

Wśród takiego usposobienia i takiego stanu duszy, nie mogło być mowy o tematach życiowych, ale tylko o książkowych, erudycyjnych. Jakoż w pierwszej seryi Improwizacji Deotymy, wydanej w Warszawie roku 1854, ani jedna nie dotyka radości i smutków człowieka, jako jednostki żywej, narażonej na walkę ze sobą i siłami zewnętrznymi, bojującej krwawo o życie; ani jedna również nie przedstawia osobistego uczucia poetki nie tylko w zakresie indywidualnej, co by zrozumiała całkiem było rzeczą zarówno ze względu na młody wiek, jak i ze względu na owoczesne konwenanse towarzyskie,—ale nawet w sferze ogólniejszej;—improwizatorka wszędzie jest *przedmiotową*.

Weźmy pod rozwagę choć parę tematów. Oto jedna z najpierwszych improwizacji Deotymy, a pierwsza w zbiorze p. t. „Wiosna.” Czy jest w niej choć jedno spostrzeżenie osobiste? czy poetka mówi o tej naszej wiosnie, którą już tylu opiewało poetów, ale która w duszy wrażliwej wciąż nowe budzić może uczucia i do nowych pobudzać obrazów? Bynajmniej. Improwizatorka bardzo ładnie i potocznie opowiada to, co wyczytała w książkach o wiecznej wiosnie „w płomiennej strefie równika,” w mieście zwanem Kwito, dokąd „duch wiosny” w postaci skrzydlatego aniołka, po wygnaniu pierwszych ludzi z raju, obiegłszy świat cały, powraca na spoczynek.

Podobnie inna improwizacya p. t. „Lilia” nie jest poetycznym wyrazem własnych spostrzeżeń nad tym kwiatem, lecz najprzód powtórzeniem słów Chrystusa, iż lilia strojnieszka jest od Salomona, a potem dopatrywaniem mistycznego znaczenia kwiatu, jako obrazu Matki Bożej; na miejscu bowiem, w którym złożono zwłoki Maryi Panny, znaleziono niebawem, według legendy, lilie wonne.

Zresztą dość przejrzeć tytuły improwizacji w pierwszej ich seryi, ażeby nabrać przekonania, że wyłącznemi motywami ich były wiadomości zaczerpnięte z nauk przyrodniczych, legend, teorii i dziejów sztuk pięknych. „Kamienie” to bardzo ładnie i zręcznie powiązane ze so-

ba szczegóły z mineralogii; „Kwiaty”—to połączenie rozmaitych podań interesujących o różnorodnych roślinach kwitnących, poczynając od paproci, a kończąc na passyflorze. „Snycerstwo,” „Malarstwo,” „Budownictwo,” „Dwie cechy muzyki”—to określenia entuzjastyczne zarówno doniosłości tych sztuk pięknych, jak i główniejszych ich przedstawicieli.

Ktoś przeczytawszy tytuł „Sabaudezyk,” mógłby sobie pomyśleć, że znajdzie tam obraz nędznego życia górali i ich wypraw do Francji dla zarobku. Zawiódłby się najzupełniej. O życiu owem są tylko króciutkie napomknienia, a główna rzecz polega na odmalowaniu czarujących wrażeń, jakie na młodym Sabaudezyku wywierały po kolei wszystkie sztuki piękne, tak że „na dźwiękach wleciał do nieba” i „w jednym dniu przeżył lata.”

Jedyna improwizacja, w której niepokoję człowieka są zobrazowane to: „Życie artysty muzyka,” będące uogólnieniem i usymbolizowaniem nastroju artystycznego wogóle. „Życie artysty—powiada poetka—jestto błyskawica, co grzmot swój w chwale, piorun swój ma w zgonie!” I tutaj wszakże nie tyle realne przeżycia, jakim podlega dusza artysty w ciągu swej pielgrzymki ziemskiej, ile raczej rozmaite nastroje, w jakich pisane były pewne głośnie utwory muzyczne, zajmują improwizatorkę. W charakterystyce życiowej poprzestaje autorka na rysach ogólnikowych, powiadając, że artystę zdobi czasem smutek, lecz głównie „polotu piętno,” czasem smutek go ogarnia, lecz „przemaga wesołość,” czasem przenika go rozpacz, lecz niebawem wybuch „dzika ironia,” a potem „radość szalona.” Niewątpliwie, w charakterystyce tej dobrze jest utrafić przemienność nastrojów usposobienia artystycznego, chociaż poszczególne jej rysy dołownie są uszeregowane.

We wszystkich improwizacjach znać było wielkie czytanie młodej poetki, wielki spokój i pogodę w rozpatrywaniu zagadnień natury, sztuki i ducha ludzkiego. Miała autorka grunt pewny pod nogami, na którym silnie się oparła, mogła niezachwianie, w sposób dogmatyczny, rozwijać swoje poglądy. Gruntem tym była wiara religijna z niejakim odcieniem mistycznym. Rozterki pomiędzy wiarą, a wiedzą Deotyma naówczas nie знаła; przeciwnie wierzyła silnie w ich ścisłe ze sobą przymierze.

To jej stanowisko, jak nie mniej sposób opracowywania tematów, nadawały improwizacyom ton dydaktyczny. Poetka sama się rozkoszowała swojemi wiadomościami i chciała, żeby tej rozkoszy zażyć mogli także słuchacze.

Co było suchego w dydaktyzmie, to złościła fantazyja, rzeczywiste bujna, błyskotliwa i rozległa. Barwność wyrażań, a niekiedy niepospolita ich świeżość lub oryginalność kolorowała wszystkie jej pomysły, a nadzwyczajna płynność i potoczność wierszy, przy zachowaniu bardzo starannego, a nieraz wykintnego rymu, mogła naprawdę przejąć podziwem. Fantazyji tej brakowało tylko przymiotu plastyczności; osoby i rzeczy nie stawały przed wyobraźnią czytelnika wypukłe, żywe; przeciwnie kształty ich nazwać było potrzeba rozwiewnemi; ztąd wyjaśnia się skarga Zygmunta Kaczkowskiego, wielkiego zresztą wielbiciela talentu Deotymy, że niejasno pojmował treść jej improwizacji.

Rozwiewność kształtów w połączeniu z naturą samego improwizatorstwa, wytwarzała inną właściwość utworów Deotymy, którą musimy nazwać rozwlekłością. Improwizator nie może się zastanawiać nad doborem myśli i wyrazów, nie może poszukiwać coraz tolepszych i dobitniejszych, musi poprzestać na tym zasobie duchowym i słownikowym, jaki w danej chwili ma do rozporządzenia. Wypowiedziawszy pewną myśl, nie może już jej cofnąć i zmuszony jest korzystać z naturalnego kojarzenia się wyobrażeń, by rzecz swą prowadzić dalej, ani na moment mówić nie przestając. Dlatego improwizacja nie ma artystycznie przemyślanego układu, lecz w dowolnych poskokach przechodzi od jednej wiązki wyobrażeń do drugiej; dlatego zdarzają się w niej powtarzania zasadniczego motywu, wypowiedzi tego coraz to innemi wyrazami; dlatego nieje-

den mniej szczęśliwy, mniej odpowiedni treści frazes bywa w niej koniecznością.

Im bogatsza kto posiada wyobraźnię, im większą władą przytomnością umysłu t. j. możliwością *natychmiastowego* spożytkowania swej wiedzy i swego talentu; im bardziej wyrobionym włada językiem, tem oczywiście łatwiej przychodzi mu uniknięcie wspomnianych dopiero co trudności, chociaż ich pokonać zupełnie nie może... Deotyma należy do najhojniej obdarowanych talentów improwizatorskich; to też w jej utworach nie ma nigdzie rażących wykroczeń przeciwko połączeniu myśli poszczególnych w spójną całość ani też przeciw językowi, który jest piękny, czysty, poprawny, tu i owdzie tylko wyrazami wziętymi z francuszczyzny (kamień *filozofalny*, *missel*) przetykany; pewna jednak chaotyczność kompozycji i brak umiaru spostrzedz się i u niej daje bez trudu.

W cztery lata po pierwszej, wyszła druga serya Improwizacji Deotymy (Warszawa, 1858, S. Orgelbrand). I tu jeszcze dużo jest dydaktyzmu, i tu wiadomości rozmaitych nauk, przyrodniczych lub historycznych, wypełniają treść nieraz bardzo obszernych improwizacji („Astronomia,” „Anioł muzyki,” „Improwizator,” „Podróż myśli w świat dziejowy,” „Rzeczywistość i wyobraźnia,” „Prawda,” „Piękno” i t. p.); ale już napotykają się tematy, nasunięte wspomnieniami osobistymi z podróży odbytych, w r. 1854, a co ważniejsza—motywy, świadczące o znaczeniu tej gładkiej powierchni myśli, jaka się w pierwszej seryi spokojnie rozpościerała.

Poprzednio poetka, wspominając o bólach i cierpieniach ludzkich, o walkach i burzach wewnętrznych, takich używała wyrażań, iż odgadnąć z nich można było teoretyczną jeno świadomość o owych przeżyciach bolesnych. Teraz znajdujemy wśród improwizacji, dawnym trybem wykonanych, ustępy docierające granic pesymizmu. W wierszu p. t. „Tęsknota” (z r. 1854) czytamy posępne rozmyślanie, dalekie od tej pogody ducha, pewnego siebie i swoich losów. Istność nasza błada—mówi poetka—to nieprzerwany bój życia ze zgonem, tak długi, smutny, jak walka dnia z nocą w pasmie dni z ciągłej jesieni wysnutem, gdzie z każdą chwilą znika liść złudzeń. Patrząc na lot ptaków, na bieg chmur nad ziemią, powiew traw przy ziemi, improwizatorka wysnuwa bolesną myśl, że „lepiej czemkolwiek być, niż być człowiekiem;” ale na tej myśli nie poprzestaje i, jak pesymiści, zwraca na to uwagę, iż ptaka ścigają strzelcy, trawę tnie kosa, w chmurze mieszka piorun, iż „wszystko umiera i cierpi w naturze.” Wzlatuje na gwiazdy, sądząc, że tam znajdzie szczęście, bo „lepiej gdziekolwiek żyć, niż żyć na ziemi,” bo „choć świat pozornie stroi się spokojem, w jego piersiach brzmia stłumione żale.” Wprawdzie Deotyma na tych pesymistycznych uwagach nie kończy, ale nadzieję lepszego bytu, ukojenia, szczęście odsuwa w przyszłość daleką; ucieczką dla niej pociechą staje się wiara w ideał, bo przecież „kiedys w tej mrocznej krainie będziemy mogli jeszcze ujrzeć zbliska;” wszak świat straconą swą jedność odzyska i człowiek wstąpi w tajemnic świątynię. „Tam więc dopiero, w marzonym królestwie bożem, które ma zstąpić na ziemię, znajdziemy uspokojenie, którego obecność dać nam nie może i dlatego nas trawi „tęsknota,” nie złożona ani z samych światła ani z samych cieni, ani z śmierci, ani z życia, ani z nieba, ani z ziemi, — ale z nich wszystkich razem.

Uczucia indywiduального nie ma jeszcze i w drugiej seryi Improwizacji, ale ukazuje się tu już bardzo często miłość w najogólniejszym znaczeniu, z położeniem na nią nacisku, jakiego w pierwszej seryi zupełnie nie było. Tam np. znajdował się wiersz p. t. „Wiara, nadzieja i miłość,” traktowany z teologiczno-filantropijnego punktu widzenia; za szczyt miłości przedstawione zostały siostry miłosierdzia, czyli, jak z francuska się wyrażała poetka „szare siostry.” W seryi drugiej już ten przedmiot nie jest rozpatrywany z tak wyłącznie dogmatycznej strony. Wprawdzie w improwizacji „Serce” nie spotkamy tego, czegośmy się spodziewać mogli po tytule;

wprawdzie i tu allegorya i symbolika więcej zajmują miejsca, niżeli wyraz szczerego, bezpośredniego uczucia; ale bądźco bądź żywiej tu odmalowano niż dawniej znaczenie tego podmiotu (subiektywnego) pierwiastku. „Bez uczuć—czytamy tu—jak tęskno wśród wiedzy ogromu; wśród skarbów chaosu, wśród sławy kadzideł! Mężczyzna bez serca jest burzą bez gromu; kobieta bez serca jest ptakiem bez skrzydeł!” A w końcu dochodzi poetka do wniosku, niezbýt szczęśliwie umotywowanego, ale wyrazistego, „że samem sercem zbawić się można.”

I inne rodzaje uczuć znajdują tu również swe uzewnętrznienie w słowach nie chłodnych, lecz przenikniętych dreszczem wzruszenia. I tak np. powitanie „pięknej, drogiej Warszawy” po powrocie z podróży w roku 1854 tętni niepodrobionemi uderzeniami serca: „Tu mi się barwnie splatał wianek życia; tu się myśl pierwsza wyrzyła na czoło; tu pierwszych marzeń gonilam motyle... Ach! tu życzliwych napotkałam tyle—więc błogosławię powtórnie tę chwilę, bo znów się widzę w ich kole...”

A co się tyczy stosunku wiedzy do wiary, teraz jasniej i wyraźniej niż poprzednio zaznaczyła poetka potrzebę ich spójności dla dokonania postępu, który wszędzie w dziejach jest widoczny. Najwspanialszym w tym względzie jest wiersz p. t. „Gnoza.” Światło fizyczne, na rozkaz Stwórcy rozwinęło mroki zewnętrzne; ale świat ducha nie został w ten sam sposób rozwinięty; Bóg człowiekowi powierzył to zadanie, który miał nowe: „stań się” powiedzieć i mroki wewnętrzne rozproszyć. Długiej i zawziętej potrzeba było walki, ażeby człowiek mógł posłannictwa swego dopełnić, gdyż „barbarzyńska Ciemnota,” wiedząc, iż blask pochodni ducha zniszczy jej panowanie, „bliźniestwami, ironią, męczeńską katuszą karze tych, którzy śmieją dalej widzieć od niej.” To też mędrcy zamykają się w ścisłych kołach, gdzie tajemnice wiedzy przechowują, nie zdradzając ich przed rzeczą; nie chcą bowiem narazić się na przesładowanie. Ukazuje się Chrystus, i „niestrwożony” daje ludziom światło wiedzy nadziemskiej; to też kona na krzyżu; ale pochodnia przezeń zapalona już nie zgaśnie, choć czasem ukrywać się jeszcze musi w murach klasztoru. Coraz jawniej z wiekami wybłyska; a Deotyma nie waha się twierdzić, że prawda „kielnią mularzy (t. j. wolnomularzy) wyrąbuje zakłętę świadomości progi,” wreszcie w naszych czasach ośmiela się wygłosić to hasło swobody: „Otwórzmy wrota wiedzy! otwórzmy dla tłumów!” Poetka solidaryzuje się z tym prądem, wołając: „błogosławione wieki, które rozumieją, że *wiedza świat ocali, gdy wszystkim zaświeci.*” Jakkolwiek na wymówienie jednej głoski owego nakazu: stań się! potrzeba dla ludzi szeregu wieków, Deotyma nie traci nadziei, że błoga chwila zabłyśnięcia słońca duchowego nadejdzie:

Już wiele głosek świeci na duchowym niebie;
Kiedy ostatnia padnie z piersi mędrców boskiej,
Świat duchowy się wstrząśnie światem wielkiej
[zmiany...]
Dotąd jest, jakby nie był, póki nie zna siebie,
I dopiero żyć zacznie, gdy będzie poznany...

Takim okrzykiem, czczącym potęgę wiedzy, kończy improwizatorka swą najdojrzałą myśl i może najpiękniejszą artystycznie z tej doby kreację. Takim okrzykiem mogła Deotyma zjednać sobie uznanie i tych nawet, którzy innych jej poglądów nie podzielali.

Na tym utworze kończą też charakterystykę Deotymy jako improwizatorki. Nie wiem, czy po r. 1858 występowała jeszcze z utworami tego rodzaju, ale to pewna, że nowego ich zbioru nie ogłosiła już drukiem; zaczęła wydawać „poezye,” tworzone z namysłem. Poezycy takie znajdują się również w obu seryach Improwizacji; nie rozbierałem ich tu jednak, ponieważ o nich ma inne pióro się rozpiszać.

Streszczając w krótkości, co poprzednio rozwinąłem, zaznaczę iż Deotyma, obdarzona umysłem refleksyjnym, zamilowana w pojęcia ogólnych, występowała z początku, jak to rzecz naturalna,

z tą niezachwianą powagą i wiarą w prawdę głoszonych przez siebie myśli, jaką daje dogmat, religijny czy naukowy. Zapewne dzisiaj sama poetka uśmiecha się z niejednego poglądu, rozwiniętego w pierwszych swych improwizacjach, ale jest to uśmiech błogi, bo przenosi w chwili niezamkniętego spokoju ducha, której nie już potem zastąpić nie potrafi. Z biegiem czasu, gdy własne rozmyślanie coraz głębiej w duszy poetki się rozpościerało, nie przecząc zasadniczym dogmatom pierwszej młodości swojej, wprowadziła do nich konieczny pierwiastek każdego postępu t. j. zwątpienie o doskonałej pewności naszej wiedzy o świecie, a zwłaszcza o duchu własnym, i przeniosła na dalszą przyszłość tę nadzieję odświeżenia tajemnic bytu, jaką zrazu przynosiła już czasem obecnym. Wiara w postęp i jego konieczność przewodniczyła poetce w rozpatrywaniu dziejów ludzkości i wieszczaniu o czasach, które nadejść mają i wytworzyć królestwo boże na ziemi.

I w stronie artystycznej widzimy udoskonalenie, gdy porównamy pierwszą seryę Improwizacji z drugą. Dawniejsza obfitość frazeologiczna starała się poetka zastąpić zwięzłymi określeniami i porównaniami, a w ich doborze bywała nieraz bardzo szczęśliwa, gdy np. nazwała perły „manna mórza” lub „umarłymi kroplami rosy.” Oczywiście, w poszukiwaniu takich zwięzłych, a oryginalnych określeń, zwłaszcza gdy ich dużo nagromadzić się pragnie, myśl przywiąże się nieraz do jakiegoś mniej trafnego wyrazu czy obrazu; ale też tem łatwiej podobne potknięcia się wybaczyć można. A gdy się po latach przeszło 40 znajduje w Improwizacjach Deotymy niejedną jeszcze perełkę natchnienia, to nie będziemy uważali za przesadę słów Kaczkowskiego, malujących dosadnie nastrój, panujący w czasie pierwszych przejawów talentu Deotymy: „Więc zajaśniały rumieńcem życia pergaminowe twarze uczonych, rozplamione się zakrzepłe w teoriach oczy estetyków, poruszyły się skórzane serca krytyków, a kiedy przez to nieubłagany skalpel wypadł na chwilę z rąk literackich anatomów—wszystkie dzienniki brzmiały jednogłośnie chorałem pochwał i uwielbień.”

„Wanda” Deotymy.

Kolebkę wielkich narodów wieńczy zwykle girlanda podań i legend poetycznych. Są to płomienie pochodni, które fantazyja ludowa usiłuje rozjaśnić ciemne głębie zamierzonych stuleci. Legendy te i podania, przechodzące z ust do ust, z pokolenia w pokolenie, w formie klechd, bajek i pieśni, są może najlepszym wyrazem ducha narodowego, narodowej fantazyi i twórczości. Poeci wszech ludów i czasów, począwszy od mitycznego Homera, znajdowali w nich zawsze nieprzebrane źródło natchnienia, przeczytany źródło żywej poezyi, z którego czerpali pełną dłoń, tworząc najlepsze swe dzieła.

Bajeczna epoka dziejów naszych więcej może, niż któregośkolwiek z ludów nowożytnych, dostarczyła pokarmu fantazyi ludowej, która na tle starodawnych podań o Lechu, o Dwunastu Wojewodach, o Krakusie i Wandzie, o Popiele wreszcie Piaście, — wysnuła długi szereg przepięknych opowieści, cislających się niemal pod pióro poety, pod dłuto lub pędzel artysty... Poeci nasi próbowali niejednokrotnie podania te i powieści połączyć w całość jednolitą i nadać im formę artystyczną. Lecz jeżeli na wykonanie takiego zadania pojedyncze siły okazywały się zawsze zbyt słabymi, to w każdym razie usiłowaniami tymi i próbami poezya nasza zawdzięcza takie utwory, jak „Balladyna”, „Lilla Weneda” i „Król Duch” Słowackiego, jak szereg poematów Deotymy, objętych wspólnym tytułem — „Polska w pieśni”.

„Wojna olbrzymów”, „Wyszmir”, „Dwunastu wojewodów”, „Wanda”, — oto pojedyncze ogniw tego wspaniałego łańcucha, zakończonego tak świetnie „Sobieskim...”

W czarodziejskiej krainie podań i legend narodowych wyobraźnia natchnionej poetki szybkuje swobodnie, jak w stworzonej dla siebie atmosferze. Owe stulecia odległe, spowite w mgłę tajemniczą, której dotąd przeniknąć nie zdołały najbystrzejsze oczy historyków, nie mają dla niej mroków, ani tajemnic. Więć opiewa dzieje walk Słowiańszczyzny z dzikimi Obrami, czyli Awarami, zadziwia niezmiernem bogactwem fantazyi, malując w poetycznych obrazach miłość między boginią Wisłą — Wisławą i skromnym rybakiem Wyszmyrem, który pod wpływem tego podniosłego uczucia staje się bohaterem, królem mórza i księciem Słowian pomorskich, — poświęca dźwięczne zwrotki epoce Dwunastu Wojewodów i tworzy tragedję wspaniałą na tle podań o Wandzie i Rytgierze.

Nie mogąc w ramach luźnego artykułu zastrzymać się obszerniej nad tym jedynym w swoim rodzaju cyklem, pragniemy tylko na razie poświęcić słów parę „Wandzie”, jasniejszej na tle twórczości Deotymy, jako jedna z pereł najcenniejszych.

Dziwne zaiste przechodził ten utwór koleje. Czytelniczki „Bluszczu” pamiętają niewątpliwie prześliczne strofy, w których znakomita poetka, zdecydowawszy się po latach wielu na wydanie „Wandy”, poświęca ją pamięci ojca swojego, Wacława Łuszczewskiego. W ustępach tym, pełnym prostoty i miłości, wzruszającym do głębi siłą czci i przywiązania najlepszej córki, mieści się zarazem wskazówek parę, pozwalających wnioskować, w jak niezwykłych warunkach tworzyła ten poemat autorka. Powstał on w większej części przed laty z górą trzydziestu, daleko na wschodzie nad brzegami Wołgi, a potem długie lata spoczywał w tece poetki:

„Nie chciałam się z nią rozstać. Strzegłam jej”
[zazdrośna,
Przed chłodnemi oczyma, złośliwemi szpony.
Już nad „Wandą” dwudziesta przesuw się wiosna,
Ja jeszcze z niej nie zdjęłam dziewiczej zasłony.

Jednak czas we drzwi puka, — zadumaną budzi, —
I w sercu mi głos jakiś, (może Twój?) powtarza,
Iż pieśni są dla rzeszy, a nie dla pieśniarza.
Niechże więc i ta księga idzie między ludzi.

Tylko zanim ją fala niezwrotna zabierze,
Pozwól niech jej kwiatami Twój ołtarz opasze.
Tobie się one, Ojczy, należą w ofierze,
Bo ten wianek, to dzieło nie moje, lecz nasze.”

* * *

Zarzucano Deotymie w swoim czasie, że w „Wandzie” odbiegła zbyt daleko od legendy pierwotnej, jaką się przechowywała dotąd w ustach ludu, który śpiewa jeszcze piosenki o księżniczce swojej która przed wiekami „nie chciała Niemca”, bo „lepiej zawsze mieć rodaka, niżli cudzoziemca”. Zarzucano również poetce niezgodność z tradycją wyidealizowanie Rytgiera. Jeden i drugi zarzut niesłuszne. Nie ulega wątpliwości, że bohaterka poematu Deotymy różni się pod wieloma względami od postaci, którą nam przechowywała legenda i prosta piosenka ludowa, ale pamiętać należy, iż dawne podanie o Wandzie, przepuszczone przez pryzmat duszy poetki, zmienić musiało swój kształt pierwotny, wysubtelnić się i wyszlachetnić.

Poeta nie jest nigdy obowiązany do niewolniczego naśladowania pierwowzoru. Surowo krzycząc legendy czy podania przybiera dopiero pod jego dźwiękiem misternie te kształty artystyczne, które w nas budzą podziw i zachwyt. Wyobraźni twórczej krępować nie wolno żadnymi pętami,

prócz tych chyba, które nakładają ogólne wymagania piękna w dziele sztuki.

Świetlana postać białej księżny, ślubującej „żyć i umrzeć z kalinowym wiankiem”, przysięgającej Duchowi narodu „miłość, wierną aż po grób”, i decydującej się na śmierć w nurtach Wisły stoi, zdaniem naszym, o całe niebo wyżej od miłej nam niewątpliwie, lecz niezbyt głęboko pojętej Wandy z piosenki, „co nie chciała Niemca”.

A Rytgier, w którym niektórzy chcieliby widzieć tylko cheiwego władcy zaborcę, wyrastający w oświeceniu autorki naszej na rycerskiego króla mórza — Wikinga, podnosi również, niewątpliwie ogólną wartość dramatu, w którym nie walczą ze sobą ludzie zli i dobrzy, lecz wyłącznie niemal panuje pierwiastek szlachetny, łamiący się wprawdzie ostatecznie, lecz nie padający, w walce z nieprzewidywaną koniecznością. Mimo śmierci Wandy i Rytgiera, lub może właśnie wskutek tej śmierci, wzniósł się idea miłości powszechnej odnosi tryumf stanowczy.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób zadzierzgnęła poetka w swej „Wandzie” węzeł tragiczny, który, zaciskając się coraz bardziej, doprowadza w końcu do katastrofy.

Młodziutka córka Krakusa, mająca spełnić przeznaczenia wielkie, wychowuje się i uczy mądrości u „białych księży” w Tatrach. Wyczytawszy na skale przepowiednię odwieczną, wedle której:

„Gdy rodzic smoka strasznego pokona,
Córka pod skrzydła przysparze orłeta.
Będzie przez wieki pobłogosławiona,
Albo na wieki wyklęta!”

Jeśli zachowa kalinowy wieniec,
Boginiom z niego wykwitnie pociecha.
Jeśli go weźmie zamorski młodzieniec,
Lechowie zapomną Lecha, —

księżniczka, mimo przestrogi białych księży, które ją uprzedzają o wszechpotężnej władzy boga miłości, Lela, „wchodzi w zakon Dziewanny, zjad już wyjścia niema” i ślubuje uroczyscie, że „żaden śmiertelnik serca Wandy nie otrzyma”. A na dźwięk tej przysięgi z chmur, wiszących w głębi doliny, wysuwa się postać obłoczna Ducha narodu, przepływa po Dunaju, podnosi rękę i we mgle się rozprasza... W parę chwil po tem posłowie lechiccy zawiadamiają Wandę, że, wskutek śmierci jej brata, naród powołuje ją na tron opróżniony. Skończył się dla niej ranek życia boski, pójdzie do ludzi, gdzie bój, gdzie cierpienie, „marzyć na górach, a walczyć w dolinie.”

W prologu tym, jak zresztą w poemacie całym, barwy realne łączą się z fantastycznymi, tworząc razem całość harmonijną. Połączenie to nie razi tam zgoła, owszem, w owej epoce odległej, którą przywykliśmy wyobrażać sobie w jakimś oświeceniu poetycznym, wydaje się niemal naturalnem. Bogowie i ludzie jedną niemal tworzyli wtedy rodzinę...

Właściwa akcja dramatu rozpoczyna się przy końcu pierwszego aktu, gdy dumna Wanda, otoczona rycerzami swych kół, daje posłowi Rytgiera, prosiącemu w długiej przemowie o rękę jej w imieniu swego pana, krótką odpowiedź: „Wolę być księżniczką, niżeli za księżciem”. To drugi punkt wytyczny tragedyi. W aktach następnych akcja skupia się i dąży w przyspieszonym tempie do rozwiązania krwawego. Przypicie rozkochanego księcia Rugii do stóp Wawelu, fatalne dla Wandy spotkanie z nim i fatalniejsza jeszcze spojrzeń wymiana, a potem walka z miłością dla cudzoziemca, która w objęcia swoje pochwyliła duszę królowej — dziewczycy, szepcząc jej zeicha wyrazy złowieszcze:

„Kto złotego, niebieskiego,
Ptaka szczęścia raz dogoni,
I musi go puścić z dłoni,
Ten się nigdy nie pocieszy!” —

wszystko to przesuwają się przed czytelnikiem w szeregu scen barwnych, poetycznych, owianych mgłą jakiejś melancholii głębokiej, jakiegoś smutku dziwnego. Na całym tem tle fantastycznym z niepospolitą potęgą i prawdą maluje poetka miłość Wandy do Rytygiera, to żywiołowe, bezbrzeżne uczucie, przechodzące jak burza, przez jej dziewicze serce.

„O miłości! O jedyne
Słońce szczęścia w ludzkim niebie,
Lepiej z tobą żyć godzinę,
Niż wieki bez ciebie!“

W takich słowach zdradza się z uczuć swoich bohater-dziewica przed jedną z wiernych ry-
cerek, a na jej okrzyk: „Wando, ty kochasz!“ nie znajduje w swej piersi dosyć sił do zaprzeczenia, chociaż przed sobą nawet do tej miłości przyznać się nie chce:

„Przez bogi, mów ciszej!
Nikommu, choćby tajemnie,
Nikommu, nawet mnie samej,
Nie powtórz słów podobnych...
[Dziewanna usłyszy!“

Lecz nigdzie może nie maluje się lepiej serce kochającej kobiety, niż w owym krótkim monologu, wypowiedzianym w akcie piątym przed spotkaniem z pokonanym Rytygierem. Wanda przeżyła słabość chwilową, idea wyższa odniosła tryumf w jej sercu, brutalna napaść cudzoziemca została siłą odparta, dumny napastnik za chwilę będzie jej jeńcem,—i wtedy właśnie trwoga największa ogarnia istotę jej całą:

„On tam! Czy go spotykać? Szukałam go wszędzie,
A teraz cóż mu powiem? Myśl mi się zamaca...
Powinnabym przemawiać, jak zwyciężająca,
A ja drzę, jak skazany, kiedy ujrzy sędzię.
Na jego widok, boleść i radość dziecinna
Odbierają mi rozum. Chciałabym się cała
We łzę przed nim rozpuścić, upaść na kolana,
Upaść i wszystko wyznać! A jam nie powinna
Wyznać. Póty mej siły, pókim nie wyznała.“

Przyjdź mi na pomoc, Duchu mojego narodu!
Natchnij mi słowa grozy, daj mi lica z lodu,
Broń mię przeciw mnie samej, bom ja—pokonana.“

Chociażby poemat *Deotymy* nie zawierał w sobie nic więcej, oprócz obrazu walki tych dwóch wykluczających się wzajemnie uczuć, która w nim odmalowana została z takim talentem ogromnym, już to samo uczyniłoby go utworem pierwszorzędnej wartości. A przecież obok Wandy przesuwają się w nim przed oczyma czytelnika szereg postaci dziewczę i rycerzy, przemawiających tak żywo do naszej wyobraźni, i tyle scen pięknych, tyle obrazów wspaniałych.

Oprócz idei głównej, o której mówiliśmy wyżej, znakomita poetka poruszyła w „*Wandzie*“ mimochodem myśl zrównania w prawach dwóch płci, „kwestyę emancypacji kobiet“, jakby dzisiaj powiedzieć należało. Dwie myśli przewodnie istnieją w tym utworze równolegle, nie przeszkadzając sobie wzajemnie, a obok nich przez poemat cały przewija się, niby wstęga złocista, myśl trzecia—o wszechpotędze boga miłości Lela, przed którego strzałą szybkoletnia nie ujęć żadnej z ziemianek...

Wł. Bukowiński.

BRANKA JASYRU.

Prawiono światu, że inne nastały
Trzeźwiejsze, z duchem wieku zgodne czasy,
Że przyszła doba zderzenia szaty białej,
Co nas stroiła w dniach dziecięcej kraszy,
Miłości, szczęścia, niezmaconej wiary
I uczuć świeżych jak pączek w rozkwicie.

Prawiono, że to nowe ziemi życie
Już się obejdzie bez zwodnicy starej,
Co ludzkość wiodła przez złudzeń obszary,
Co ją poila czarem marzeń, pieśni
I nieziszczonych jeszcze obietnic.
Więc kłąć poczęto aniołów siostrzycy,
A ludziom było wciąż ciemniej, boleśniej,
Zwątpienie, rozpacz szarpały ich łono,
Bo przeczuwali, że ich prowadzono
W głębie pustyni bezwodnej i głuchej,
W której po dawnej urojeniu ruinie
Lepsza w nich część zaniknie i zginie,
Że zapanują nad niemi złe duchy
I będą z piękna i dobra wyzuci.

Więc poszła w jasyr, z którego nie wróci,
I już nie będzie nic kłócić spokoju,
I wyschną wody drażniącego źródła,
Tej człowieczeństwa siły, co ją pchała
Wciąż ku wyżynom tam, gdzie wieczna, trwała,
A niedościgną krasa gdzieś w przestrzeni
Błękitów ludziom z góry się uśmiecha.
Wszystko się w świecie przeobrazi, zmieni,
W jasyrze Branka zamrze i zaginie
Jak głos ostatni, co głuchnie bez echa
Wśród dzikiej wrzawy, w dalekiej krainie.

Lecz Branka żyła, choć spętana w łyka,
Żyła cierpieniem, modlitwą i wiarą
I dziś powraca na swą ziemię starą,
A głosem, który głąb serca przenika,
Wzywa nas, woła do nowego życia,
Nowej nam wiosny ukazując świty,
I lzy otarła, smutek już nie żałuje
Żywota części w jasyrze przeżytej,
Kiedy liczyła serca ciężkie bicia,
Gdy spożywała gorzki chleb, co truje,
Kiedy zaznała, że ból i tęsknota
Snują nam pasmo prawdziwe żywota.

Postać swoją dziwnie ludzi wzrusza.
Trąd jej oblicze skaził, ale dusza
W utrapień długich mękach wybielała,
I tęskna idzie tam, gdzie niegdyś stała
Zagroda ojców, chociaż swego domu
Nie znajdzie—w dobie strasznego pogromu
Wszystko okrutne strawiły płomienie.
Lecz zawsze milem dla niej choć wspomnienie.
Z wybladłym licem, drżąc niby trzcina
Na zgłiszczach domu spalonego siada,
Daleką przeszłość sobie przypominając,
Popioły okiem zażawionem bada,
Czy się pod niemi coś jeszcze nie kryje.

O cud! w zgłiszczach jerychońska róża,
Acz nad nią przeszła niszczycielska burza,
Nietknięta leży; snadź znowu odżyje,
Byle ją woda potoku skropiła,
Gdy wody nie ma, skropcie ją choć łzami,

Wnet nowem życiem jako przed latami
Zakwitnie, w krasie dawnej się rozwinie
I będzie stale kwitnęła i żyła
Jak niegdyś, w czarów i cudów godzinie.

Częstochowa, 10 Maja 1897 r.

Bronisław Grabowski.

DEOTYMA

JAKO POWIEŚCIOPISARKA.

Chcąc dać słuszną charakterystykę powieściowych utworów naszej poetki znakomitej, nie podobna przykładać do nich skali dzisiejszych wymagań krytyki, która, mając przed sobą arcydzieła współczesnych pisarzy obcych i swoich, kładzie o wiele trudniejsze warunki od tych, którym czynił zadość powieściopisarz z ubiegłego okresu. Jakkolwiek powieści *Deotymy* ukazały się już w okresie najnowszym, mimo to, jak i wszystkie inne utwory poetki i nawet ostatni z nich obecnie wychodzący poemat *Sobieski pod Wiedniem*, z natury swej do okresu romantycznego należą. Wobec tego nie można powieści tych porównywać z pracami dzisiejszych wybitniejszych autorów i podczas ich czytania należy zapomnieć na chwilę o tym potężnym rozwoju strony artystycznej, który w utworach tych właśnie autorów widzimy. Bowiem jeżeli powieściom *Deotymy* można uczynić większy jaki zarzut, to przede wszystkim tyczący się wykonania artystycznego; może się to nieco dziwnem wydać, że takim właśnie zarzutem najczęściej obarczamy poetów, u których poczucie piękna silnie bywa rozwinięte, atoli w rzeczywistości tak się najczęściej dzieje, bowiem inna napisać poemat, a inna dobrą powieść; w pierwszym zawsze przeważa opis, zaś w drugiej dyalog coraz bardziej bierze górę nad opisem i własne „ja“ autora stopniowo zanika. A właśnie podmiotowość autorki jest bardzo wybitną cechą jej powieści; nie ukrywa się ona poza swymi bohaterami, jak ów chłopiec, kierujący ruchami figur w jasełkach, owszem, często bardzo ich rolę bierze na siebie, w bezpośredniej przemowie do czytelnika wygłaszając swoje idee lub nawet charakteryzując swoich bohaterów, którzy właściwie sami siebie charakteryzować powinni. Taki sposób tworzenia powieści był ogólnym w okresie poprzednim, do którego właśnie jubilatka nasza należy.

Na polu powieściowym *Deotyma* ukazała się względnie dość późno, bo dopiero po dwudziestu czterech latach swego zawodu pisarskiego, gdy już oddawna stała u szczytu swej sławy, jako poetka, zwłaszcza improwizatorka i autorka pierwszych dwóch tomów *Polski w pieśni*. Mianowicie z początkiem roku 1876 w „Tygodniku ilustrowanym“ wystąpiła z pierwszą swoją powieścią p. t. *Na rozdrożu* (*), której treść aczkolwiek jest pełna szczegółów, zaciekawiających czytelnika do tego stopnia, że natężenie jego uwagi nie słabnie ani na chwilę przez cały czas czytania, atoli nie posiada tej żywotności, która wogóle zapewnia powieściom szerszy i trwalszy rozgłos. Występujący w niej ludzie nie są pozbawieni energii i nawet pewnej oryginalności, jednakże nie są wyobrazicielami jakiegobądź wybitniejszej lub subtelniejszej cechy ducha ludzkiego, a tembardziej jakiegokolwiek idei.

Pan Tytus Odonicz zakochał się w pięknej mężatce Irenie Zapolskiej, ale, będąc człowiekiem uczciwym, po długiej walce z sobą samym pod wpływem namów ukochanej osoby wyjechał z kraju, by za granicą, będąc zdala od niej, móżdź zdławić w sobie zakazane uczucie. Po dłuższym pobycie w Paryżu zabrał bliższą znajomość z włoską, śpiewaczką, w której namię-

*) W osobnem wydaniu ukazała się ona w r. 1878.

tnych uściskach płonące w nim uczucie na chwilę zostało stłumione, jednakże wkrótce odżyło nanow, gdy pan Tytus dowiedział się o owdowieniu pani Ireny. a potem i ją samą ujrzał we Włoszech. Wróciwszy z nią do kraju, był już blizkim urzeczywistnienia swych najgorętszych pragnień połączenia się z ukochaną osobą dożgonem w węzłami małżeństwa, gdy wtem najniespodziewaniej na drodze jego staje mściwa włoszka, która postanawia zabić szczególniejszą rywalkę. W chwili wykonywania zbrodni, niezgodnie z zamiarem ginie, zabita kawałem marmuru przez córkę pani Ireny Cecylię ratującą matkę. Dzięki nieuczciwym zabiegom sędziego Pełki, któremu matka i córka zawdzięczają zatarcie wszelkich śladów mimowolnego zabójstwa, zrywa się stosunek między panem Tytusem i Ireną, która ostatecznie wychodzi powtórnie za mąż za Pełkę, skazując temsamem siebie i córkę na kilkoletnie pełne ciężkich utrapień życie z człowiekiem wstrętnym i niesumienym; dopiero nagła śmierć jego przywraca spokój obu kobietom.

Wszystkie powyższe fakty w utworze należą do przeszłości; akcja powieściowa poczyną się dopiero bliższem poznanym się z wdową i jej córką siostrzeńcą Tytusa, młodego Wiesława Różyca, który postanawia ożenić się z Cecylią. W dalszym ciągu występuje na scenę pan Tytus Odonicz, z początku stale unikający ukochanej ongi przez siebie kobiety, bowiem czuje się obrażonym i głęboko dotkniętym przez zerwanie z nim stosunków przed laty; atoli dzięki przebiegłości Cecylii prawdziwy, a usprawiedliwiający zupełnie kobietę powód zerwania wkrótce się wyjaśnia i powieść kończy się niespodziewanie dla czytelnika nie małżeństwem obu par, ale pozostawieniem ich na *rozdrożu*; jednakże można łatwo wywnioskować, że niebawem wahanie się i niepewność minie, a dwa śluby połączą naszych bohaterów do zgonu.

Autorka nie poskapiła powieści swej scen jaskrawych, zaostrowających ciekawość i podbudzających fantazję czytelnika, dzięki czemu utwór można czytać z wielkim zajęciem do samego końca. Wszakże pomimo to, gdy po za tem wszystkim będziemy szukali w powieści już nie mówię głębszych, idei, a wprost niezbędnych jej warunków, jak np. naturalności sytuacji, charakterów dobrze uwydatnionych lub ruchu postaci działających, pokaże się, że nie odpowiada ona wymaganiom krytyki, która pragnęłaby tu widzieć większą harmonię składowych części utworu, większą wypukłość występujących w nim postaci i nade wszystko większą naturalność.

Drugą z kolei powieścią Deotymy jest *Zwierciadlana zagadka*, drukowana najpierw w „Kronice rodzinnej”, a następnie w r. 1879 odbita w wydaniu książkowym. Jest to bardzo udatny i ze zwykłą autorce żywością skreślony wizerunek maniaaka, który całe swe życie zmarnował na wyszukanie sposobu odzwierciadlania napowrót w lustrze tego wszystkiego, co się w nim kiedykolwiek dawniej odbiło. Cezary S. wierzy święcie, że każdy przedmiot odbity w zwierciadle utrwała swe kształty na zawsze na jego powierzchni; jakże zresztą nie ma wierzyć, skoro sam był świadkiem, jak jego mistrz Halucini, nakierowawszy na powierzchnię lustra wynaleziony przez siebie przyrząd i puściwszy go w ruch, przy pomocy płynu zawartego wewnątrz, doskonale przez otwór tego przyrządu widział wszystkie kolejno przedmioty i zdarzenia odbite niegdyś w tem lustrze; on sam zresztą długo to praktykował; tylko mistrz nigdy mu nie odkrył tajemnicy robienia owego płynu, bez którego przyrząd nie oddziaływał na powierzchnię zwierciadła. W wypełniającej całą powieść rozmowie swej z maniakiem autorka rozwinęła przed nami wielki zasób wiedzy przyrodniczej i rzuciła sporą wiązaną głębszych myśli filozoficznych, co bądź to bądź podnosi znaczenie powieści, w której, co prawda, wolelibyśmy widzieć większe pogłębienie i subtelniejsze wyciniowanie natury oryginalnego maniaaka.

Powieść *Krzyż nad otchłanią*, drukowana w „Ale-neum” w końcu roku 1878 i na początku 1879,

a napisana w formie listowej, zawiera dzieje przeobrażania się duchowego jednej z bohaterek utworu Teresy, spowiadającej się peryodycznie w listach przed swą przyjaciółką zamężną ze wszystkich swych myśli, pragnień i opowiadającej wszystkie kolejno zachodzące wypadki w jej życiu. Autorka dała swej powieści nazwę studium kobiecego; istotnie, na powieść utwór ten zamało ma kwalifikacyj. Młoda dziewczyna Teresa postanawia wstąpić do klasztoru i w postanowieniu tem trwa dośrodku, dopóki nie pozna interesującego młodzieńca, który po dość hulaszce i nieco awanturniczej przeszłości osiada wśród gór karpacczych, wiodąc życie pustelnicze. Poznawszy go Teresa, doznaje nieznanego sobie dotychczas uczucia silnej i namiętnej miłości, dzięki czemu jeden z ostatnich swych listów do przyjaciółki pisze już jako mężatka.

Utwór ten ze względu na prostotę i brak efektów w swej treści stanowi przeciwieństwo z pierwszą powieścią Deotymy i mógłby nawet zająć wybitniejsze miejsce, niż *Na rozdrożu* pomimo wogóle zażytego już dziś tematu, gdyby posiadał więcej naturalności w obrazie narzeczonego Teresy i odznaczał się subtelniejszym wyciniowaniem, a w niektórych razach i większem pogłębieniem psychicznego stanu głównej bohaterki. W takim razie zasługiwałby on na nazwę powieści psychologicznej.

W r. 1889 ukazała się w książkowym wydaniu, ozdobionem ilustracyami Audriolego, trzyczęściowa powieść Deotymy p. t. *Branki w jasyrze*, napisana jeszcze w r. 1880 i najpierw drukowana w „Kłosach”. Jest to pierwsza i jedyna właściwie powieść historyczna naszej autorki; osnutą jest ona na tle XIII w., gdy nad Polską przeszła jak huragan nawała tatarska, niszcząca wszystko dokoła. Brankami tatarów, którzy splądrowali całe południe kraju, są w utworze dwie przyjaciółki serdeczne Elżbieta, żona mężnego pana na Żegnańcu, i Ludmiła, sierota, bogata spadkobierczyni dóbr po swym ojcu. Opowiadanie o ich losach od czasu wzięcia do niewoli, aż do powrotu na ziemię ojczystą po latach czterdziestu stanowi niezmiernie barwną i obfitą w różne szczegóły dziejowe treść utworu, którego główną zaletą jest nietyle strona artystyczna opowiadania, ile raczej głęboka erudycja autorki, umiejacej na podstawie szczupłego zresztą materiału historycznego odtworzyć możliwie szczegółowo domowe życie i sprawy publiczne barbarzyńców azyatyckich w potężnej w XIII w. monarchii mongolskiej. Takie właśnie barwne miejscami odtworzenie przeszłości, znanej nam przeważnie z krótkich opisów ówczesnych misjonarzy europejskich, stanowi bardzo ważną dodatnią stronę utworu, który przytem posiada i pewną tendencję, czego w żadnej innej powieści Deotymy nie spostrzegamy. Jest nią uwydatnienie w osobach głównych bohaterek idei wielkiego uczucia przyjaźni i wypływającego z niej bezgranicznego poświęcenia.

Najlepszym utworem powieściowym pod względem obrobienia artystycznego jest piąta i ostatnia dotychczas powieść naszej jubilatki p. t. *Panienka* *), drukowana w „Biesiadzie literackiej” w r. 1893. Jakkolwiek rzecz sama odbywa się w XVII-wym w., atoli utworu tego bynajmniej do działu historycznych powieści zaliczyć nie można, gdyż ani charakterystyki osób owego czasu, ani żadnego faktu dziejowego, związanego z treścią opowiadania nie mamy tu wcale. Ową pannę, bohaterkę tytułową, jest młoda i piękna Jadwiga, porwana jeszcze niemowlęciem przez tatarów, a potem odbita wraz z całym ich łupem i przygarnięta, jako niepoznana sierota, przez litościwą kobietę, polkę a żonę Niemca z Gdańska, gdzie spędziła całe swe dzieciństwo i pierwsze chwile młodości. Tu poznał ją oficer „Wodnej armaty” pan Kazimierz Korycki, a zapalawszy ku niej gorącym afektem i zyskawszy wzajemność, postanawia połączyć się z nią węzłem małżeńskim; tymczasem zachodzą nieprze-

widziane przeszkody: bogaty rajca gdański Niemiec Schultz, dotychczasowy przybrany ojciec i opiekun pani, zostawszy wdowcem, zamierza sam z nią się żenić.

W obec tego krewki pan Kazimierz wykrada pannę, by wziąć z nią ślub w Oliwie, ale dognany przez Niemca i ciężko raniony przez jego czeladnika, długą chorobą krok ten odpokutował. Zdawało się tedy, że panna niechybnie zostanie żoną Schultza, gdy wtem najniespodziewaniej wykryto rodzinę Jadwigi, skutkiem czego Niemiec zmuszony był oddać dziewczynę matce i bratu, którzy chętnie zezwolili na jej związek małżeński z Kazimierzem.

Jak widzimy, treść tej powiastki jest bardzo prosta, wolna od wszelkich nadzwyczajności i scen wyszukanych a obliczonych na wywołanie sztucznego efektu; przytem samo opowiadanie utrzymane jest w całym ciągu w tonie spokojnym i w oświetleniu pogodnym; jednostajnem, co wszystko razem sprawia na czytelniku bardzo dodatnie wrażenie. Przesuwające się przed jego oczyma postaci skreślone są z zupełną swobodą i naturalnością, a jakkolwiek silniejszych zarysów nie posiadają, mimo to mają swoje cechy indywidualne, a poruszając się i działając swobodnie, tworzą zupełnie harmonijną całość. Wartość utworu podnosi także dość szczegółowy i zgodny z rzeczywistością opis mieszkań gdańskich w XVII-wym w. lub ubiorów ówczesnych niemieckich, co świadczy pochlebnie o dobrej znajomości przez autorkę opisywanego przedmiotu.

Takimi w ogólnych zarysach są powieściowe utwory Deotymy, nie zajmują one naczelnego miejsca w jej pracach pisarskich. owszem, pod-rzędniejszą grają rolę już nie tylko pod względem artyzmu, ale także i dlatego, że nie ratuje ich żaden związek z życiem społecznym: występujące w nich postacie nie noszą na sobie żadnych cech narodowych (wyjątek pod tym względem stanowiąc mogą poniekąd tylko „Branki w jasyrze”) i są obce wielkim ideom i sprawom swojego ogółu.

J. Nitowski.

MYŚLI DEOTYMY.

Pieśni! tyś marzeń pogrzebem—
Pieśni! tyś czynów kołyską.
Tyś nie ziemią—choć jej bliską,
Czyś ty piekłem? czyś ty niebem?

Nie! tyś czyszcem, bo kto śpiewa,
Ten się pali—więc przepali...
A stos jego z wiedzy drzewa—
On nie zgaśnie wśród łez fali

Kto z nadzieją się rozstanie,
Sam swój czyściec w piekło zmieni—
Więc niech pieśń z pośród płomieni
Brzmi pogodnie—jak zaranie,
Nieskończenie—jak ufanie,
Zwyczajko—jak zmartwychwstanie!

O, szczęśliwy! najszczęśliwszy
Kto za życia w pieśni spłonie!
Przecierpiawszy, przebaczywszy
Czysta nie zazna po zgonie.

Wszyscy—co wątpią,—wszyscy co boleją
Co tracą serce, zrywają z nadzieją—
O! nie tak cierpią jak dusza poety
Gdy ją odbiegnie lotny blask natchnienia—
Wtedy jej lutnia w jeden dźwięk się zmienia,
W ten dźwięk:—niestety!

*) Tytuł przez redakcyę o połowę skrócony, gdyż w rękopisie brzmiał: „Panienka z okienka.”

Czy wiesz jak dzikiem szaleństwem się miota,
Kto był już w niebie i spadł znów na ziemię?

Wszyscy niebianie w kadzidłach ołtarza
Nie są tak szczęśliwi, jak podobny Bogu
Wiesz, co w natchnieniu wskrzesza i stwarza.

Miłość jest osi, na której Bóg stoi,
Poezyą w życiu, a życiem w poecie,
Cierniem, z którego ofiara się plecie,
Może i kluczem do szczęścia podwoi,
Bezdenią czarą, co przyrodę poi,
Berłem mężczyźnie—koroną kobiecie!

Człowiek może ideę stworzyć, ale nie może
jej zniszczyć; raz przez niego stworzona idzie
w świat, ani się pyta;—działa, żyje, broi, leczy
lub otruwa, buduje lub zwała, a wszystko bez
końca—im większa tem nieśmiertelniejsza!

...Droższą jest na ziemi
Doba, co unieśmiertelni,
Niż wiek między śmiertelnymi.

Czemuż, straszna trójco: *życie*,
Śnie i *śmierci*, nas dręczycie?
Czemuż, gdy dusza, okryta
Jeszcze nicości zasłoną,
Niebo wtedy jej nie spyta:
—„Chcesz-że, czy nie—być stworzoną?”

Jest wieniec chrześcijańskiej troski,
Łzami skropiony obficie,
Którzy winni całe życie
Nosić naśladowcy wierni
Arcy-wzoru chwały boskiej—
Tym wieniec—korona z cierni!

Wszystko, co ma być—*już* istnieje; wszystko
jest nieśmiertelne, a chwila *stawania się* stanowi
tylko zjawisko przejściowe tej nieśmiertelności.

Ludzie! błaha wasza praca!
Co miało początek—znika,
Co pyłem—w pył się obraca.
Tylko słowo z jądrem wiary,
Tylko myśli, prawd filary,
Tylko serce, co cierpiało:
Są świątynią wieczno trwałą.

Najuczciwszy człowiek nie byłby rad pewnie,
gdyby zawsze i wszędzie pierwszy lepszy mógł
czytać w jego myślach.

Przez sfer stopnie: dusze, światy
Wiodą ciągle płas skrzydlaty
Ku wieczności niezbadanej—

Aż przed Najwyższego tronem
Staną i zakończą tany
Odpocznieniem nieskończonem.

Najwyższa mądrość nie dla gawiedzi.

Im człowiek zna więcej
Tem wyraźniej dostrzega jak jeszcze zna mało.

Im człowiek bliżej nieba, tem świat większy
pod nim.

Kto przez czas długi
Nie umiał się upomnieć, niech-że czekać umie.

Gdzie burzyć trzeba, tysiące rąk mamy,
Gdzie budować—ni jednej.

Gdyby jakowe bóstwo powiedziało dziewie:
„Wybierz: Oto przez życie masz przejść sza-
[nowana,
„Dam ci stolicę sędziów, dam w narodzie władzę,
„Świat mądrości i wieszczby przed tobą roztwo-
„I na tajemnym wiecu bogiń cię posadzę, [rzę
„Lecz serce twe samotnem pozostanie może.”

Lub też: „Zamknę ci mądrość na podwójne wro-
[ta,
„Naród od swoich obrad odepchnie cię z tłumem
„Dzieci i niewolników i taka ciemnota
„Oprzędzie myśli twoje, że mrówka czy pszczoła.
„Najuboższe zwierzątko zrówna ci rozumem,—
„Lecz jaki młodzian stanie i zawoła,
„Uchylając w zachwycie przed tobą kolana,
„Że ci władzy nad sercem każdy król zazdrości,
„Że nieświadomość twoja wyższa od mądro-
ści— —“

Czyżby która, o wybór tych losów spytana,
Wybrała pierwszy? Żadna!

Któż wieczne prawo przyrodzenia złamie?
Słabsze u niewiast niż u mężów ramię.
Kto dobrze niewieście życzy,
Niech jej nie radzi nigdy: „Idź do bogów siły!”
Tam ona zawsze przegra.

Walcz o własnej sile,
Wyczerp cuda woli
I czekaj—choć boli;
Czar goi ran tyle.

Słowo! cześć słowo!
Kto chce panować nie może mieć pana.
— Miłość w ustępstwach jest niewyczerpana.
Nie—królowa zakochana
Już nie jest królową.

Póki serce nie kochało,
Życie jest jak okolica,
Której słońce nie oświeca, —
Może ona i wspaniała,
Cóż gdy noc z niej farby starła?
Ziemia leży jak umarła.

Lecz niech tylko zorza w dali
Porozrywa chmur spowicia:
Każdy pyłek się zapali
Nieśmiertelną iskrą życia.
Wszystkie barwy świt odnowi,
Wszystkie kształty dzień wyciosa —
Cóż się stało obrazowi?
Słońce weszło na niebiosą.

O, miłości! o, jedyne
Słońce szczęścia w ludzkim niebie —
Lepiej z tobą żyć godzinę,
Niż wieki bez ciebie.

Nie dziwy,
Że zapomina ziemię, kto może być w niebie.

Wdzięk ucieka w lot sokoła,
Czas goni co sił — —
Nikt młodości nie odwoła,
Choćby sto lat żył.

Chwilę spocząć w tem objęciu!
Drzeć na tego serca biciu!
Spalić się w tych ust dotknięciu!
Potem—umrzeć!—i w mogile
Śnić na wieki ową chwilę,
Jedną chwilę szczęścia w życiu!

Szczęśny, kto kocha i żyje. Szczęśliwszy,
Kto ukochawszy—umiera!

Gdy rany są najkrwawsze,
Gdy klęski deszczem się leją,
Gdy zda się, że niebiosą o nas zapomniali,
Wtedy na szczęście jakieś czekajmy z nadzieją,
Bo we pstrej tkance przeznaczenia, zawsze
Po czarnym—idzie pas biały.

Ofiary, za którymi nie popłyną żale,
Na szali nieszczęść zaważyć nie mogą.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołączają się: arkusz 8-my T. II, powieści p. t. *Takisara* przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego. — *Historia jakich wiele*, nowella, przez W. K. Clifford. Przekład z angielskiego.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycz-
nych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza
i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową
flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na
prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), portret. — Wiersz, przez Kazimierza Glińskiego. — Jadwiga Łuszczewska (Deotyma) Adama Dobrowolskiego. — Improwizacye Deotymy przez Piotra Chmielowskiego. — „Wanda“ Deotymy, przez Wł. Bukowińskiego. — Branka Jasyru, przez Bronisława Grabowskiego. — Deotyma jako powieściopisarka, przez J. Nitowskiego. — Myśli Deotymy.

Dodatek obejmuje: *Takisara*, powieść przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Arkusz 8-my T. II. Przekład z angielskiego. — *Historia jakich wiele*, nowella, przez W. K. Clifford. Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. 43 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycye obiadu.